

# Pogórze Przemyskie

## Migawka

To było wiele lat temu. Moja świadomość związków z lasem, zwierzętami i przyrodą dopiero się wykluwała. Byłem jak nowicjusz, świadomy tęsknoty za dzikim życiem, ale jednocześnie ciągle jeszcze przepełniony kulturowymi mitami na temat natury, która tylko czyha, by wbić nóż w plecy takiemu śmiałkowi, jak ja. Tak czy owak, chciałem wypuścić się w dzicz, by odkrywać, doświadczać, uczyć się i stopniowo stawać człowiekiem, dla którego przyroda i las są prawdziwym domem.

Ale były to dopiero początki. Zaledwie rok wcześniej przygotowując się do wędrowki po Bieszczadach zabrałem gaz pieprzowy. „Po co ci ten gaz?” – zapytał mój towarzysz podróży. „Na wilki” – odpowiedziałem. Na twarzy Piotrka pojawił się grymas wyrażający politowanie. A mnie zrobiło się wstyd. To był jeden z tych momentów, które wyraźnie uświadamiały mi, jak bardzo boję się przyrody. Niemniej jednak minął rok i byłem zdecydowany na wszystko. To znaczy na spanie w lesie. Bez żadnego gazu. To miał być mój pierwszy raz. Dlatego cały byłem podekscytowany i niecierpliwie czekałem na tę inicjację.



Rezerwat Krępak na Pogórze Przemyskim. Fot. Krzysztof Mazurkiewicz

Wybrałem Pogórze Przemyskie, bo za sprawą enklawy zwanej „państwem arłamowskim” przyroda pozostała tam względnie nienaruszona, a poza tym zapuszczało się w te rejony naprawdę mało ludzi. Rzeczywiście zostałem zauroczony. Dorodne buczyny porastały głęboko wcięte dolinki, którymi płynęły krystalicznie czyste potoki. Ta bukowa, pofałdowana przestrzeń zapraszała mnie niezwykłą baśniową atmosferą. Może dlatego, że przez las przetaczały się mgły. Wszystko było takie nierealne, tajemnicze i piękne. Szum wody w wezbranych potokach i spadające nieustannie z drzew krople przypominały mi jednak, że ten świat wokół jest jednak bardzo realny – tak realny, jak moje przemoczone buty i kurtka. Gdy w końcu znalazłem się w okolicach Turnicy, rozbiłem namiocik. Ten mój mały domek skutecznie izolował mnie od lasu. Wtedy jeszcze tego nie rozumiałem, nie wiedziałem, że można jeszcze bardziej otworzyć się na przyrodę. Wówczas sam fakt nocowania w lesie był dla mnie prawdziwą rewolucją. Kładąc się spać ze świadomością, że jestem sam w tym królestwie dzikiej przyrody, przekraczałem jakąś granicę, jakąś kolejną, jedną z wielu barier odgradzających mnie od życia. Po tej nocy byłem z siebie dumny. Przeżyłem. Nic mnie nie zjadło.

Ale prawdziwa próba była dopiero przede mną. Zostawiłem plecak w swojej bazie i poszedłem powłóczyć się po okolicznych wzgórzach. Jakież było moje zdziwienie, gdy odkryłem, że rosnące wokół lasy to nie tylko majestatyczne buczyny. Wprawdzie pośród tych buków już wcześniej spotykałem dorodne jodły, ale w końcu okazało się, że jodła tworzy w wielu miejscach prawdziwe monokultury. Jodłowy las, wszędzie jodły: małe, duże i bardzo duże; jodły żyjące i jodły złamane jak zapałki, będące wspomnieniem potężnych wichur. Jodły, które były już tylko dalekim echem dostojnych drzew, bo teraz leżały i zamieniały się w ściółkę. A w dole, tam, gdzie spotykały się wartkie potoki, podtapiając jednocześnie niewielką nieckę, królowały ogromne jesiony. Jakież bogactwo różnych zbiorowisk. Poszczególne gatunki drzew wybierają odpowiednie dla siebie miejsca i tam rozsiadają się wygodnie, tworząc dom dla kolejnych gatunków roślin i zwierząt. Tutaj nikt nie ingeruje w ten proces. Nikt nie decyduje arbitralnie, że powinny tu rosnąć np. świerki czy modrzewie. To prawdziwe sanktuarium naturalnego procesu, który zawsze wie najlepiej, co jest właściwe.

Idąc wzdłuż potoku z głową w kapturze i jednocześnie pełną myśli, nagle kątem oka zauważam przebiegające parę metrów ode mnie zwierzę. Pies? Zaraz, przecież tu nie ma psów. To wilk! O rany! Co robić? Może uciekać? Przerażony chowam się za bukowy pień. Może mnie nie zauważy. Wychylam głowę z tak bijącym sercem, że wyobrażam sobie, iż ten wilk zaraz to usłyszy. Ale nie, widzę jego sylwetkę, która oddala się. Patrzę w drugą stronę, a tu... drugi. Zwinnie przeskakuje strumyk i niespiesznie podąża za swoim towarzyszem. Ja ciągle za tarczą buka obserwuję to niezwykle zdarzenie. Te dwa wilki nie zwróciły na mnie najmniejszej uwagi. Poszły sobie dalej tak po prostu. Dla mnie chyba na szczęście, bo gdyby na mnie spojrzały, to chyba padłbym ze strachu. Stoję więc oszołomiony, oddychając głęboko i odtwarzam po wielokroć tę scenę, której byłem właśnie świadkiem. Przeżyłem. Nie zostałem zjedzony. Po raz drugi. Co za szczęście!

Dzisiaj wspominam to spotkanie jako jedno z ważnych życiowych doświadczeń, jako prawdziwą inicjację w świat dzikiej przyrody, jako okazję do zmierzenia się z własnym lękiem i zobaczenia, że tak naprawdę jest on iluzją.

Wilki spotkałem na swej drodze jeszcze raz. W nocy, schodząc z grani Pasma Jałowieckiego, w świetle latarki nagle zobaczyłem w mroku w odległości kilku metrów cztery pary świecących oczu. Przystanąłem. One też. Trwało to kilkanaście sekund. Staliśmy tak wpatrując się w siebie. Spokojnie i bez lęku. Było bardzo cicho. A potem one poszły. Ja też poszedłem. Każdy swoją drogą. Co tu dużo gadać...

Ryszard Kulik